




# Program inwestycyj zakopiańskich.

II.

Drugą konieczną inwestycją dla Zakopanego jest kanalizacja. którą jednak można przeprowadzić dopiero po zaprowadzeniu wodociągów; bez nich, bez możności dokładnego przepłukiwania, kanały łatwoby się mogły stać rozsadnikami wielu zakaźnych chorób. Zresztą zachodzą tu inne względy natury technicznej i finansowej, Zakopanego nie można w żaden sposób porównywać z zagranicznemi światowemi uzdrowiskami, które są już miastami w wielkim stylu i stosownie do tego muszą być urządzone.

System usuwania nieczystości w Zakopanem musi być dobrze obmyślany i rozumnie zastósowany. Potrzebę tej inwestycji normuje tu — tak, jak wszędzie, — stopień zaludnienia i niebezpieczeństwo zakażenia gruntu.

Wiadomo, iż 60 dusz na hektarze usprawiedliwia kanalizacyę spławną; zaś 100 dusz na hektarze czyni ją konieczną.

Pod względem ekonomicznym należy przypuszczać, iż zaludnienie jakiejś miejscowości od 60 do 100 dusz na hektarze pozwoli także na taki wydatek, jakiego wymaga kanalizacya, czyli że sami mieszkańcy mogą jej koszta ponieść i opłacać.

W Zakopanem zaludnienie wykazuje 4 dusze na hektarze, gdyby mieszkańcy byli krociowymi panami, to tylko w takim razie mogliby sobie na spławną kanalizacyę pozwolić.

Koszta takiej kanalizacyi są ogromne. Stali mieszkańcy Zakopanego w $^3/_4$ częściach ubodzy stosunkowo górale, nie są w stanie ponosić ciężaru połączonych z tak kosztowną inwestycyą; nie pozostawałoby zatem nic innego, jak ciężar ten przełożyć na gości, szukających w Zakopanem w porze letniej zdrowia i spoczynku, czyli owe 4 dusze na hektarze musiałyby szukać u 8 dusz na hekterze przybywających na kilka tygodni — pokrycia wydatków na kanalizację. Ale i w takim razie opłaty byłyby wysokie.

Niechby się poważyli Zakopianie na taki rachunek, to przekonaliby się zaraz, iż zakopiańscy goście gromadnie się wyniosą do Poronina, Witowa, Makowa, Zawoi i t. d. a kanały zakopiańskie niech sobie ich twórcy opłacają!

Tymczasem, — zanim się doczekamy, że zaludnienie Zakopanego dojdzie do 60 dusz na hektar, Zakopane powinno taniej a dobrze urządzić wywózkę nieczystości. Doły kloaczne i system Tallarda zupełnie zadaniu odpowiedzą. Oczywiście sposób ten winien być otoczony wszelką możliwą ostrożnością i starannością. Zresztą w tej kwestyi udała się gmina do Zakładu hygieny w Krakowie z prośbą o wskazówki, które niebawem otrzyma i do nich się zastósować powinna.

(C. d. n.)

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 19 Lipca 1903 r.

# KORESPONDENCYA.

*Zakopane* dnia 14 lipca 1903.

Nareszcie wylało się z nieba, co wylać się miało, i bardzo być może, że na dłuższy czas zapanuje pogoda, bo barometr się ciągle podnosi. Pogody już dawno tu oczekiwaliśmy, to też wszyscy witają ją z radością.

Ludziska chcą sobie powetować długi czas siedzenia w domach i wyjeżdżają na gwałt, gdzie się da. Przy Morskiem Oku (ale tem prawdziwem, nie murowanem) rojno.

Teraz dopiero zaczyna się tu ten prawdziwy sezon.

Koncert za koncertem, reunion za reunionem, udaje się nieźle. Orkiestra grywa podczas pogody w parku na Chramcówkach, więc już nie widać takich tłumów w „Morskiem Oku“ (ale tem murowanem), jakie były dotychczas, zato w parku widać bardzo dużo publiki tak, że nawet daje się odczuwać brak ławek.

I biedni przewodnicy już zaczynają się ruszać po długiej bezczynności; co chwila do biura Towarzystwa Tatrzańskiego, przychodzi ktoś pytać o przewodników i o ich adresy.

W tych dniach przejeżdżali, a właściwie przechodzili mieszkańcy Albionu, dwie panie i dwóch panów. Poszli do Szmeksu przez Polski Grzebień. Przewodnik porozumiewający się z nimi za pomocą tłómacza, miał dużo kłopotu, bo dopytywali się o każdy pagórek, o każdą dolinę i uczyli się ich nazw na pamięć, co im z trudnością przychodziło.

Wyszedł teraz nowy przewodnik niemiecki Dra Otto po Tatrach. — Między innemi jest w nim wzmianka o naszych przewodnikach, w której mówi autor, że „odznaczają się usłużnością i trzeźwością, czego nie można powiedzieć o przewodnikach węgierskich“.

Do tej pory mieliśmy dwa reuniony, jeden w zeszły czwartek u Dra Chramca, który się świetnie udał, o co zresztą, tam nie trudno, bo sami zakładowi goście już stanowią poważny zastęp, — a drugi u p. Bauera, gdzie także licznie zgromadzeni kuracjusze i niekuracjusze tańczyli ochoczo aż do zgaszenia lamp.

Koncerty, jak wyżej wspominałem rodzą się po tych deszczach, jak grzyby. Dzisiaj t. j. 14-go odbył się koncert w sali Dra Chramca, połączony ze sztukami magicznemi, z którego dochód przeznaczony na straż ogniową, dalej zapowiedziany jest w tejże sali 21-go koncert skrzypka, p. Romaniszyna, i deklamatora, p. Krzewińskiego, następnie pan Friedman jak lat ubiegłych zapowiada swój koncert w „Morkiem Oku“ 18-go b. m., a potem chóry; „Smetany“ 22, akademicki z Krakowa 26, akademicki ze Lwowa 1 sierpnia, „Echa“ 2 sierpnia, „Towarz. Muz.“ z Krakowa 3-go. Między tymi chórami głównie rywalizują o palmę pierwszeństwa niesłychanie zespiewany chór „Smetany“, który na wszechświatowej wystawie paryskiej wziął złoty medal, i chór „Tow. Muzycznego“ z Krakowa złożony ze świeżych i młodych głosów, który w zimie tego roku był przedmiotem wielkich owacji w Warszawie.

Słowem sezon się już zaczyna! Widać to na twarzach właścicieli domów do wynajęcia, bije to z twarzy woźniców, którzy już nie tak natarczywie zaczepiają przechodniów stereotypowem: „Może pojedziemy!“, bo wiedzą, że i tak będą mieli czas zarobić swoje, widać ten początek sezonu i na samych gościach, którzy inaczej patrzą na świat oblany (nie wodą deszczową) promieniami słońca, na te góry wyraźnie rysujące się na horyzoncie, które zdają się mówić: „W góry, w góry bracie młody!“ i t. d.

* * *

Teatr pana Müllera zaczyna zaskarbiać sobie łaski u publiczności Zakopiańskiej, która z każdem przedstawieniem liczniej zaczyna nawiedzać salę „Morskiego Oka“.

Do tej pory były bardzo starannie wystawione „Sprawa kobiet“ Bałuckiego, „Potęga ciemnoty“ Tołstoja, „Kraj“ i „Ciotka Karola“, na tej zwłaszcza farsie bawiono się doskonale.

Mieliśmy sposobność poznać artystów, z których bezwarunkowo najbardziej talentem obdarzeni są państwo Müllerowie.

Z młodych początkujących aktorów muszę tu wspomnieć pana Sowińskiego. Pan Müller ze swą trupą chce, jak powiada, „przebiedować do końca sezonu“, myślę jednak, że jeżeli publiczność będzie nadal tak uczęszczała na przedstawienia jego trupy, jak naprzykład na ostatniem przedstawieniu, to dyrektor nie będzie miał prawa nazywać pobytu w sezonie 1903 roku w Zakopanem „przebiedowaniem“.

Pan Müller ma zamiar wystawić następujące sztuki: „Rodzina Furjozów“, „Senator“, „Kościuszko pod Racławicami“, „Tamten“ w którym wystąpi gościnnie pan Krzewiński uczeń szkoły dramatacznej Gabryeli Zapolskiej w roli Strelkoffa, i inni.

*M.*

# KRONIKA.

**Cudowne ocalenie.** We czwartek 9-go bm. po południu jechała z pociągu pani Z. z dziećmi parokonnym powozem na Gubałówkę, drogą prywatną, bardzo stromą i niebezpieczną, używaną tylko do wycieczek pieszych. Z powodu kilkudniowego deszczu, grunt oślizgł, co zwiększyło jeszcze niebezpieczeństwo. To też w połowie drogi powóz zaczął się cofać; — przerażony woźnica nadaremnie usiłował zatrzymać konie. Powóz staczając się coraz szybciej ku przepaści (15 do 20 metrów głębokiej) przełamał baryerę i wyrwał z korzeniami drzewo, rosnące nad brzegiem przepaści. To ocaliło jadących; — powóz zatrzymał się chwilę na drzewie złamanem a pani Z., na pół przytomna z przestrachu, skorzystała z tego, żeby wraz z dziećmi zeskoczyć na ziemię. Zaraz potem powóz runął w przepaść, gdzie się połamał w drobne kawałki. Woźnica wyrzucony z kozła, silnem uderzeniem powozu, potłukł się silnie, konie się pokaleczyły.

Wypadek ten, który tylko cudownem zrządzeniem Opatrzności nie zakończył się tragicznie, powinien być przestrogą dla wszystkich nieostrożnych, którzy często każą się wieźć drogą najbliższą, nie zważając na to, czy jest ona możliwą do przebycia, zwłaszcza, ciężkim powozem.

Dostęp na Gubałówkę jest wogóle uciążliwy, bez niebezpieczeństwa można na nią jechać jedynie drogą wiodącą z Chramcówek przez most na Zakopiance obok młyna i tartaku.

**W Dolinie Kościeliskiej** otworzyła pani Górska na sezon letni restauracyę, zaopatrzoną dostatnio we wszystkie artykuły spożywcze. Jest to wielka wygoda dla gości, odwiedzających licznie uroczą dolinę, mając bowiem wszystko na miejscu, nie będą potrzebowali zaopatrywać się w prowianty w domu.

**Wycieczka Sokołów.** Na dzień 15 sierpnia zapowiedzieli Sokoli swój przyjazd do Zakopanego. Dr. Chramiec otaczający zawsze życ liwą opieką wszystkich zwiedzających Zakopane, użyczy im swego pięknego parku na odbycie ćwiczeń gimnastycznych.

**Wieczór wokalno-magiczny.** Dnia 14 Lipca odbył się w sali balowej dra Chramca wieczór na dochód ochotniczej straży pożarnej w Zakopanem. Wieczór wypełniły produkcje samych amatorów z wyjątkiem gry pani Czop-Umlauf znanej utalentowanej pianistki, która z prawdziwem uczuciem odegrała kilka utworów Szopena. Rozpoczął wieczór p. Rzewiński kilku świetnymi monologami; oklaskiwany bez końca. Pan J. B. zadziwił wszystkich niewyczerpanym zasobem sztuk magicznych, w których okazał bajeczną zręczność. Widzom trudno było uwierzyć, że mają przed sobą tylko amatora. Pan K. odśpiewał silnym i pięknym głosem „Kozaka“ i „Starego Kaprala“. Czysty dochód wynosi około 100 koron.

**Przerwana komunikacya.** W sobotę dnia 11-go lipca wstrzymany został ruch pociągów na linii Chabówka-Zakopane. Z powodu kilkudniowego nieustannego deszczu usunął się między Sieniawą a Laskiem wał nad torem kolejowym, zasypując go na przestrzeni przeszło 400 m. głazami i kamieniami. Przez dwa dni było Zakopane zupełnie odcięte od cywilizowanego świata, bo nawet pocztę, wskutek opieszałości urzędników w Chabówce dowieziono dopiero w niedzielę wieczorem. W poniedziałek 13 lipca zaczęły kursować pociągi dochodzące z Zakopanego do Sieniawy i wracające z gośćmi, którzy się tam przesiadali, przeszedłszy pieszo tor głazami zasypany. We wtorek 14-tego wydano ogłoszenie zapowiadające, że aż do odwołania pociągi kursować będą w godzinach niezwykłych, mianowicie odjazd z Zakopanego 9·20 m. rano i 12·30 w południe, przyjazd o 12-tej w południe i o 5-tej wieczór. W miejscu przerwy toru trzeba się przesiadać. Przerwa komunikacyi w czasie, gdy po dłuższej słocie nastała piękna pogoda, umożliwiająca liczniejszy przyjazd gości, mogła wyrządzić Zakopanemu nieobliczone straty, to też wójt gminy zwrócił się z całą energią do władz wyższych, żądając, by wpłynęły na przyśpieszenie roboty około oczyszczenia toru. Po dwudniowej przerwie, w czasie której goście zupełnie nie przybywali, ruch wzmógł się znacznie. Obecnie przyjeżdża 150—200 osób dziennie.

**Excelencya Dunajewski**, którego przyjazd opóźnił się wskutek przerwania komunikacyi, przyjedzie w tych dniach do Zakopanego.

**Komisya klimatyczna** uchwaliła rozpisać konkurs ne lekarzy. Warunki zostaną ogłoszone w dziennikach.

**Wielka tombola.** W niedzielę 19 lipca odbędzie się w parku i na deptaku u Dra Chramca wielka tombola, na rzecz „Schroniska dla nauczycielek w Zakopanem“.

**Wskutek ulewnych** deszczów, które spadły w zeszłym tygodniu, woda Dunajca tak wezbrała, że uszkodziła koryto regulacyjne na długości 12 metrów — powyżej mostu na Przecznicy.

**Dworzec Tatrzański.** W numerze porannym „Czasu“ z dnia 8-go lipca, w korespondencji z Zakopanego podano, że w Dworcu Tatrzańskim jest „nieład i nieporządek“ i t. d. Szanowny korespondent ma zupełną słuszność, stanowczo w tym dniu, kiedy był w Dworcu, był tam nieład, jaki jest nieuniknionym początkiem wszelkiego ładu i porządku. Dworzec Tatrzański bowiem dotychczas oficjalnie nie jest otwarty, lubo podczas urządzenia, które właśnie w tedy było wtoku, nie wzbraniano wstępu członkom Towarzystwa.

Obecnie dworzec jest urządzony, wkrótce nastąpi poświęcenie i oficjalne otwarcie nowego gmachu.

# Trzy miesiące w sanatoryum.

I już nie wraca nigdy fala
Co taka smutna stąd odchodzi,
Przepada kędyś w mórz głębinie.
I już nie wraca nigdy z dala.

Trzymiesięczny pobyt zimowy w sanatoryum zakopiańskiem wydaje mi się dziś, gdy drugie trzy miesiące życia oddaliły mnie od niego, jedna z tych fal bezmiernego morza życia, co zrazu siłą drgającą unosi, zda się, hen! łódź żeglarza, a potem opada — rozpływa się w fal innych tysiącu i ginie — jak chwila w czasie — efemeryczna i nieuchwytna. Żywe wrażenie — uczucie nawet jak te fale ze smutkiem rzeczy odchodzących — przepada kędyś w morzu głębinie i już nie wraca nigdy z dala. Tylko czasem w duszy człowieka zadrga wspomienie i rzeczywistość zbłękitniała w marzeniu", odrywa się od początku swego — ziemi i przetworzona, wyidealizowana w pamięci, bytuje w niej długo a czasem pozostaje na zawsze.

I w tem znaczeniu, jako baśń posępną i fantastyczną, trudno zapomnieć sanatoryum. Piękno tatrzańskiej, granitowej, zda się niezłomnej a przedziwnie obojętnej w swym królewskim majestacie przyrody, widok chorych, zniedołężniałych, przytłoczonych bezlitosną dłonią gruźlicy istnień, żelazna wola i wytrwałe czuwanie kierowników zakładu, co jak strażnicy stoją nieugięcie na warcie postanowionego przez się zadania, to zaprawdę świat kontrastów, bogaty w światła i cienie, materyał do refleksyi, liryki i dramatu. I tu nasuwa się wiele zdań i obrazów nicią osobistego odczuwania z pobytem w sanatoryum związanych, ale z faktycznem opisem zakładu, który jest celem tego artykułu... tylko pośrednio skojarzonych Łamy w rzeczywistości nakazują, jak zawsze tak i w tym razie nakazują ograniczenie, więc dokładny opis faktycznego stanu rzeczy, bez dalszych wycieczek.

Na południowym stoku Gubałówki, na wysokości 1050 m. wzniesiony i d. 23 listopada otwarty i uroczyście poświęcony czteropiątrowy gmach w kształcie podkowy, zwraca się szeregiem okien pokoi mieszkalnych na południe, haj... na rozległą panoramę Tatr. W obramieniu zielonych smereków, czerwony murowany dom, ozdobiony wieżyczkami, balkonami i obiegającą u dołu bryłą kamienną, zaopatrzoną w story werandę, sprawia już z daleka imponujące wrażenie. A wrażenie to potęguje się zimowym wieczorem, gdy w ciemnej, odludnej, zda się opuszczonej ulicy Kościeliskiej wjeżdżasz pod górę i rzuca ci się w oczy ogromna przestrzeń śnieżna, oświetlona niebieskawem światłem elektrycznych lampionów i gmach ogro-



ZAKOPANE.

mny, jak czarodziejski zamek bijący z okien wszystkich światłością i życiem. Szczęśliwa Gubałówka, co w taki klejnot ustrojoną została.

Opisywać sanatoryów pod względem jego budowy i urządzeń uwzględniających do najdrobniejszych szczegółów wymagania t. zw. stylu sanatoryalnego, nie warto, bo każdy z interesowanych może otrzymać na żądanie prospekt, opisujący zakład jak najdokładniej. Przystępujemy więc od razu do charakteryzowania ciekawszej strony danego przeomiotu tj. życia samego. Jak płynie życie w sanatoryum?

Określają to w znacznym stopniu wywieszone na korytarzach i w salach wspólnych, przepisy.

W ścisłem przestrzeganiu tych przepisów, w bezwarunkowem wdrożeniu wszystkich pacjentów w systematyczny bieg życia zakładowego mieści się znamienny, uderzający rys charakteru telazna ręka dyrekcji zmusza każdego do poddania się nowym warunkom i do sumiennego i konsekwentnego wypełniania założenia, w imię którego przyjechało się tutaj. „Przyjechałem po zdrowie“, staje się dewizą każdego pacjenta, a dla uzyskania tego zdrowia, używa tak mało pigułek i miksturek, i tak dobrze nań oddziaływa atmosfera spokoju, porządku i cudownej otaczającej go przyrody, że odbiega odeń daleko zmora hypochondryi i zapada albo w sen zimowy — pełen marzeń dziwnych — lub też w spokojną wegetację z której często powstaje ogólnie na siłach wzmocniony, z wypoczętemi nerwami i z choroby piersiowej — w lżejszych wypadkach wyleczony — a w każdym razie odporniejszy.

Zatem — jakież jest to życie, a właściwie normujące je przepisy. Można powiedzieć bez przesady, że rozkłada się ono, i zarazem całkowicie



MORSKIE OKO.

goż życia. Wychodząc z zasady, że organizm ludzki postawiony w dobre warunki, sam się leczy i uzdrawia, (metoda Brehmera) obliczono wszystko, by temu organizmowi dopomódz, by wzmocnić go, zahartować, pokrzepić. Kto też przyjeżdża tutaj z gorączkowego, często bezładnego trybu życia wielkomiejskiego, gdzie względy hygieny i zdrowie, stawia się zwykle na planie ostatnim, ten wprost uderzony jest tą asmosferą nową, gdzie hodowla zdrowia z konieczności wypełnia wszystkie chwile i staje się niejako celem i zadaniem życia. A żezawiera w 3-ch kategorjach. Jadalnia, weranda i sypialnia oto ujmujące je ramy. — Od czasu do czasu, bardzo zlekka wchodzi jako rozrywka, czytelnia, salon z dobrym fortepianem, przechadzka w bliskości zakładu, przejażdżka do Zakopanego, rzadziej do Kościelisk. Wogóle dzień jest tak szczelnie zapełniony kuracją, że wprost sumiennie się leczący, nie mają czasu, ni możności, a czasem nawet ochoty na urozmaicenie monotonii. I tak w pokojach jadalnych goście schodzą się 5 razy na dzień. (Dok. nast.)

# Gdzie gencyany kwitną?

I.

### Czy tęsknią?...

Nazywała się Zośka Gąsienica i ojcowie jej mieli kiedyś chałupę w Zakopanem.

Była kiedyś zgrabna dziewka i oczy miała czarne a włosy ciemnawe choć rzadkie nikiej ten mysi ogonek z tyłu głowy wiszący.

Jak się ubrała w nowy serdak, wdziała czerwoną spódnicę — żółtą zapaskę i pomarańczową chustkę na głowę, to ją z daleka było widać — czy to pod smrekami, czy to koło kościoła gdzie się o ranku niedzielnym zabieli od guniek i zaczerwieni od czerwonych spódnic.

Wiele, nie wiele niemiała tam co posagu, ale zawsze ojciec zmógłszy się, dałby jej co nie co. Szło tylko o to, żeby się Zośka zalubieła. A tu ani rusz! — Wynaleźli jej nawet ze Starej Polany Jacka Płazę, dość sumnego i śwarnego a tęgiego polowacza — lecz Zośkę jakby co ukąsiło. Gdy posłyszała ile to dojek ojciec chce za nią dać i o tem, że na ślub przyjaciół zmawiają — tak wzięła płakać, istna lejba łez. Im bliżej do ślubu, tem Zośka gorsza, aż wreszcie jednego dnia jak porwała w chusteckę jeno co nie co i piechotą do Nowego Targu poleciała wczesnym rankiem, kiedy słońce jeszcze nawet nie wstało. Tam do służby się zgodziła, o domu słyszeć nie chciała i z państwem do Krakowa przywędrowała.

Jest już Zośka Gąsienica w Krakowie, okrągłe pietnaście roków i od roku u mnie służy, wprawiając mnie często w podziw, jako kopalnia psychologicznych studjów.

Zmieniła się, bo zmieniła.

Z dziewki dość pokaźnej w pomarańczowej chustce na głowie i kraśnej spódnicy zrobiła się z tej góralki — co to jak siutka (koza) po górach się pięła — mała skurczona dewotka.

Ba — żeby to dewotka, ale to i dziwne samolubstwo rozwinęło się w niej z potęgą niezwykłą. Skąpstwo przechodzące w manję zbierania pieniędzy do zielonej małej skarbonki, brak najzupełniejszy serca na cierpienia lub smutek drugich, oto są charakterystyczne cechy Zośki.

Z podziwem i zdumieniem śledziłam ten zupełny zanik jakiegokolwiek uczucia rodzinnego — to wyzbycie się wszelkiej poezji, którą dusza górala na miejscu zda się być przepojona.

Gdy patrzyłam na nią, jak owinięta w stertę wełnianych kaftanów z watą w uchu — piła z łakomstwem „kawcysko ze śmietanką“ przypominały mi się srebrne noce Zakopiańskie, cisze szałasów i płomienna melancholja watry, około której ktoś cicho, letko na skrzypkach pobrzękuje. A potem — te głosy góralskie o późnej nocy zawodzące monotonną, prawie rozpaczliwą piosenką, taką „śpiewankę“ co to ma w sobie jęk halnego wichru, gdy przyciszony po wierzchołkach smerków leci, i szum potoków co płyną z gór ku dolinom między śniegiem jak srebrna nitka wśród alabastrowych złomów.

Gdzie to wszystko precz odleciało od tej „dziewczyny“ góralskiej, co na wiosnę, gdy słońce złotem napełniło zakopiańską dolinę, złotem i ciepłem, nogą odziane w nowe kierpce biegła po liliowym kobiercu gencyan w szeregu innych dziewcząt smukłych, gibkich — po to, aby paść na miękie mchy w lesie i tam fiołki pełną garścią zbierać, rozgnietać i niemi twarz, oczy, ręce myć.

A z daleka, z daleka już biegną szybko, drobno, biało ubrane chłopaki, biegną ku dziewczętom co fiolkami pachną i niesie ich na skrzydłach „śpiewanka“ — gdzie to i o „dziewczęciu“ — i o „sercu“ i o Krywaniu wysokim i o „mgle leśnej“ i o „białej brzozie co jęczy nad srebrną strużką“.

O wszystkiem tam jest, co stanowi piękno góralskiej duszy. Lecz Zośka nie pamięta nic, wyżarło jej miasto snać wspomnienia mgieł i fiołków i hal. — Zośka siedzi w ciepłej kuchni — na zielonej skrzynce, patrzy na szereg świętych obrazów, przystrojonych w papierowe ohydne kwiaty, pije „kawcysko“ i czyta jakąś książkę o zatłuszczonych kartkach.

Podchodzę i pytam o tytuł książki.

— Cóż ty czytasz Zosiu?

— Cytom mistykę, odpowiada mi panna Gąsienica.

— Czy ty wiesz co znaczy to słowo?

— Pewnie że wim. Nauka o dusy!

— Dawno masz tę książkę?

— Barz dawno. A pani się temu cuduje? Ksiądz mi dał i barz ją falił.

— Pięknie — ale czy wiesz co znaczy dusza?

Zośka wyskrobuje z garnuszka resztki „kawcyska“ — milczy, wreszcie odpowiada uroczystym głosem.

— Dusa to je takie co w ludzkiem ciele siedzi, myśli i niem rządzi!

Patrzę na tę góralską duszę, co wśród zawieruchy życiowej stoczyła się z pod stóp Giewontu na ciasną i malaryczną ulicę Krakowa i dziwnie mi się ona przedstawia. Jakiś kłębek najeżony kolcami, odosobniony, nie przyjmujący nic i nie dający nic ze siebie.

— A czy to twoja dusza kazała ci nie podać szklanki wody tej żebraczce, którą wielka choroba tłukła przededrzwiami kuchni przedwczoraj?

Zośka brwi marszczy i klepie poduszki, zabierając się do niedzielnej wieczorowej drzemki.

— Kuzda dusa dla siebie — mruczy — snycle miałak tak siekać a nie patrzeć za tam pojedną wykopertnyno podedrzwiami. Ona lo siebie, jo lo siebie — dusa ludzka wi co ciału najlepse i to mu nakazuje.

Za chwilę ciało Zośki rządzone przez „mistyczną duszę“ — tonęło w puchach poduszki, rozpływając się z lubością w gorącu kuchennem i tylko purpurowe światełko płonącej przed obrazem Serca Jezusowego lampki oświetlało część czaszki pokrytej rzadkim ciemnym włosem i ucho zatkane olbrzymim kłębkiem różowej waty.

Raz zapytałem się nagle Zośki — czy nie tęskni za górami, za wonią smerków rozgrzanych od słońca, za gromadkami owiec błądzącemi wśród kosodrzewiny, za tymi potoczkami co sobie same drogi srebrne żłobią i wśród mchów żółtych pluszowych się snują.

Zośka spojrzała na mnie z ukosa i wreszcie odparła prawie zuchwale.

— Ni, — w mieście nam piknie to samo co i w górach. Mam kościół i nabożeństwo pikniejsze niż u nas, służby dobre, jeść suto, nie ukatfiło mnie się za górami.

Zebrawszy talerze odeszła spiesznie, jakby chcąc przerwać niemiłą dla siebie pogawędkę. Cały dzień nachmurzona była i jakby rozgniewana.

Zapytałam się dlaczego jest tak zirytowana.

— Taka moja matura — odparła — dziwtóry (niektóry) człowiek nie lubi jak się go wypytują. Ja się o nic nie pytam i sama fce swoje myśli w sobie nosić. (C. d. n.)

*Gabryela Zapolska.*

# HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Jakże mam panią objaśniać, skoro sama nic nie wiem? Znajdujesz upodobanie w dokuczaniu mi nad miarę! — dowodziła z miną prześladowanej ofiary.

— Czy pan Tomasz Jackson chciał wyłudzić od księcia Eugenjusza pieniądze?

— Pieniądze?... Bynajmniej, Tomaszowi nie zbywa na funduszach.

— Mam na myśli znaczniejsze sumy: dziesiątki, nawet sta tysięcy funtów szterlingów.

— Tomasz nie potrzebował nigdy pożądać cudzych pieniędzy — oświadczyła panna Spencer wyniośle.

— Musiał jednak mieć jakieś powody, skłaniające go do powstrzymania księcia Eugenjusza od podróży do Londynu.

— Być może. Nie wiem; choćbyś mnie pani zabiła, nic nie wiem.

Nella zamyśliła się; bezwiednym ruchem uniosła rewolwer w górę; nie chciała robić z niego użytku, przestraszyła jednak pannę Spencer. Zdumiewało to Amerykankę; nie znając sama uczucia lęku, nie mogła pojąć, aby drudzy tchórzliwego byli usposobienia: zapragnęła skorzystać z bojaźliwości towarzyszki i ruchem teatralnym podniosła rewolwer do wysokości jej głowy.

Nagle dziwny strach ogarnął Nellę. Czuła, że nie oparłaby się pokusie pociągnięcia za kurek, gdyby panna Spencer czelność swoją posunęła za daleko. Bała się siebie samej, bała się dzikiego, zbudzonego zwierzęcego instynktu. Błyskawicznym lotem myśli widziała u nóg swoich pannę Spencer martwą... następnie policję... posiedzenie sądu... szubienicę!.., Straszne było to widzenie!

— Mów! — rozkazała szorstko zbladłej, jak płótno, żonie Jacksona.

— Tomasz dowodził — szeptała prędko nieprzytomnie z przerażenia kobieta — że gdyby książę Eugenjusz pojechał do Londynu, zniweczyłby cały plan jego.

— Jaki plan? Odpowiadaj!

— Wielkie nieba! ratunku! Ja nic nie wiem! — Padła na krzesło i mówiła dalej! — Utrzymywał, że pan Dimmock plecami odwrócił się do nich, że musi się z nim załatwić, że Rocco...

— Rocco! Co zrobił Rocco?

Nella nie wierzyła uszom swoim; zaciskała kurczowo rękę, trzymającą rewolwer.

Panna Spencer spoglądała na nią rozszerzonemi, jakby szklanemi oczyma.

— Nie pytaj! — błagała z przerażeniem — to śmierć niechybna!

— Tak, śmierć! — rzekła Nella, a głos jej miał zupełnie obce, niby z innych ust pochodzące brzmienie.

— Śmierć!... — jęknęła panna Spencer i z opadłą na piersiach głową zawisła bezwładnie na krześle. Widok ten wywołał nagły przewrot w nastroju duszy Nelli: tamta kobieta zemdlała. Młoda dziewczyna upuściła broń z ręki i przyskoczyła na ratunek nieszczęśliwej. Była znowu dawną Nellą z kobiecem, współczującem sercem. W tej chwili jednak panna Spencer zerwała się z krzesła, ruchem kota czyhającego na zdobycz, pochwyciła rewolwer i rzuciła z całej siły w okno; szyby przebite roztrzaskały się w drobne kawałki, a nabój wystrzelił, przy uderzeniu lufy o bruk podwórza. Nastąpiła chwila ciszy.

— Miałam słuszność, mówiąc, żeś pani szalona — dowodziła słodkim głosem. — Przychodzisz tu niby mistrz sprawiedliwości w spodnicy i próbujesz zmusić mnie do wyznania wszystkich tajemnic. Walczymy równą bronią. Chciałaś przestraszyć mnie, wiedziałam jednak, że jestem spry-

tniejszą od ciebie, i że w końcu, bylem umiała zyskać na czasie, ja będę górą. Teraz na mnie kolej.

Oniemiała, upokorzona poczuciem prawdy słów usłyszanych, Nella stała jak wryta. Wstyd jej było popełnionej nierozwagi, ale nawet w tak niekorzystnem położeniu nie zaznała bojaźni. Patrzyła śmiało przeciwniczce w oczy i szukała w głowie nowego planu działania. Myślała o przekupieniu niecnej kobiety znaczną sumą pieniędzy.

— Przyznaję, że jesteś pani górą — rzekła — ale między nami sprawa nieskończona. Posłuchaj, proszę.

Panna Spencer skrzyżowała ręce na piersiach i spoglądała ku drzwiom, uśmiechając się szyderczo.

— Pani wiesz, że mój ojciec jest miljonerem, jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Gdybym pani dała słowo honoru, że nie powtórzę ani słowa z tego, co od niej słyszałam, ile zażądałabyś za puszczenie mnie na wolność?

— Jaką pani oznaczyłabyś sumę? — pytała obojętnie panna Spencer.

— Dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów — odparła Nella bez wahania, uważając, że chodzi tylko o interes pieniężny.

Panna Spencer skrzywiła usta.

— Sto tysięcy — oświadczyła.

Z kolei wargi panny Racksole wykrzywiły się z niechęcią.

— Oznacz raczej na milion cenę okupu. Ojciec mój nie ulęknie się tej cyfry; możesz mu zaufać.

— Droższą jesteś mu pani od miliona funtów szterlingów?

— Niewątpliwie.

— A my nie bylibyśmy później z tego powodu narażeni na przykrość?

— Dam pani słowo honoru w mojem i ojca imieniu.

— Skąd możesz wiedzieć, że nie byłabym skłonną puścić cię na wolność bez żadnego okupu?

— Wyczytałam to z pani twarzy; wiem, że tego nie uczynisz.

— Masz słuszność — wycedziła zwolna panna Spencer — nie uczynię tego; nie puszczę cię z rąk naszych, choćby za cenę dolarów całej Ameryki.

Nellę dreszcz przejął do szpiku kości; usiadła na krześle. Zimny powiew wiatru musnął ją po twarzy; słychać było czyjeś kroki w korytarzu; otworzono drzwi, ale młoda dziewczyna nie odwróciła głowy. Jakby zahypnotyzowana, nie mogła oderwać oczu od oblicza panny Spencer. W uszach szumieć jej zaczynało; straciła przytomność i padła ciężko na podłogę.

## X.

### Na morzu.

Odzyskując zmysły, Nella doznała wrażenia, jakby leżała w kolebce i kołysano ją ruchem powolnym. Wrażenie to trwało czas jakiś, a do niego dołączył się odgłos miarowych, lekkich uderzeń. Miała złudzenie, jakby była unoszoną w powietrzu na skrzydłach wiatru; ogarnęło ją uczucie rozkosznego spokoju. Zdało jej się, że obok niej klęczy matka, usypiając ją melodyjną, słodko nuconą piosenką. Potem w jej oczach mienić się zaczęły różnokolorowe barwy, powieki drgały zwolna, przebudziła się w końcu. Przez chwil kilka wodziła wzrokiem dokoła, nie poznając otaczających ją przedmiotów. Odczuwała tylko błogi spokój i nieświadome zadowolenie z tego, że minęła chwile ciężkiej walki; obojętnem jej było, czy w tej walce duszy swojej z drugą duszą ludzką ona zwyciężyła, czy została pokonaną; cieszyło ją tylko, że wszystko skończone.

Stopniowo umysł młodej dziewczyny odzyskiwał równowagę, powracała samowiedza, zaczęła rozumieć położenie swoje, spostrzegła, że znajduje się na statku, a ten statek płynie zwolna po morzu. Ruch kołyski był łagodnem kołysaniem się parowca, odgłos miarowych uderzeń pochodził od koła, rozbijającego fale; mieniące się w oczach barwy wywoływało odbicie się w wodzie promieni wschodzącego słońca; mniemany śpiew matki był zwrotką, nuconą przez sternika. (C. d. n.)

## Ruch pociągów zakopiańskich.

| | |
|---|---|
| Odchodzą z Krakowa do Zakopanego: | o 10 min. 25 rano<br>o 11 min. 40 wieczór. |
| Przychodzą do Zakopanego: | o 7 min. 5 wieczór<br>o 4 min. 5 rano. |
| Odchodzą z Zakopanego do Krakowa: | o 9 min. 20 rano<br>o 4 min. 35 po poł. |
| Przychodzą do Krakowa: | o 4 min. 35 rano<br>o 2 min. 36 po poł.<br>o 11 min. 5 wieczór. |
| Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów: | o 9 min. 20 rano. |
| Przych. do Lwowa: | o 2 min. 31 po poł. |

## Spostrzeżenia meteorologiczne.

| | 9/7 | 10/7 | 11/7 | 12/7 | 13/7 | 14/7 | 15/7 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Termom. such. | 11·2 | 12·1 | 10·7 | 15·1 | 21·9 | 16·6 | 14·4 |
| „ wilg. | 10·6 | 11·8 | 10·4 | 11·4 | 16·7 | 11·8 | 14·0 |
| Ozon . . . . . . | 13 | 14 | 14 | 13·2 | 13·0 | 12·2 | 11·3 |
| Term. maxim. | 15·0 | 23·2 | 16·4 | 26·6 | 32·7 | 28·9 | 30·3 |
| „ minim. | 11·7 | 11·4 | 11·4 | 12·0 | 12·1 | 11·3 | 11·5 |
| Term. barom. | 15·7 | 15·7 | 14·6 | 18·3 | 22·7 | 21·3 | 20·4 |
| Barometr . . . | 692·7 | 690·7 | 692·6 | 694·8 | 691·7 | 695·9 | 699·7 |
| Kierunek szyb. wiatru . . . | W.W.N. | W.W.N..3 | N. N. W 1 | N.N. W. 4 | W.W. N.3 | WW. N. 3 | E E N 1 |
| Stop. zachmurz. | 8 mgliste | 10 mgl. | 10 mglist. | 7 kłeb. | 6 kłeb. | 6 kłeb. | 4 kłeb |
| Wysok. opadu | 6·2deszcz | 26·7 deszcz | 17·6 deszcz | 0 pogoda | 0 pogoda | 0 pogoda | 0 pogoda |

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.